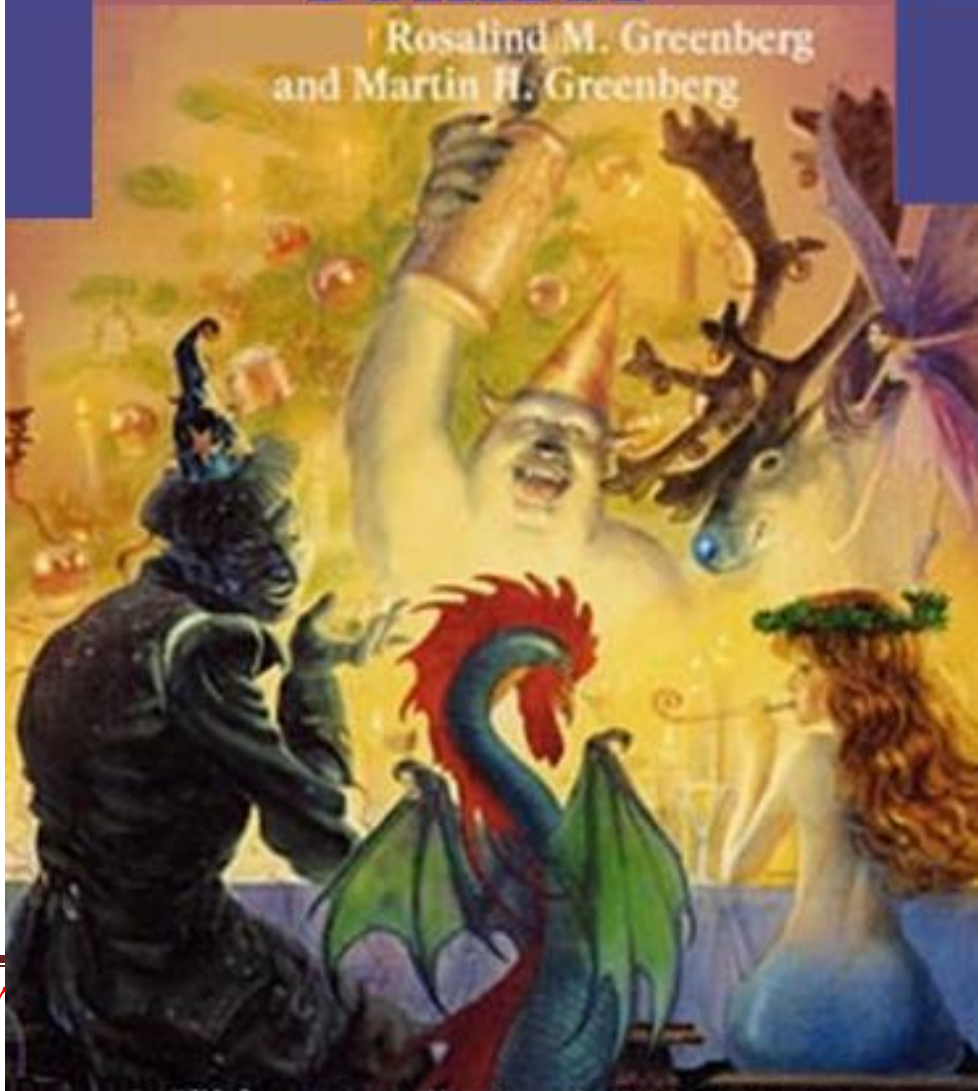


Niebieskonosy renifer

Mike Resnick

**Niebieskonosy
renifer**

Rosalind M. Greenberg
and Martin H. Greenberg



A rollicking new collection of all-original holiday
tales about those legendary creatures of enchantment.

Mike Resnick

Niebieskonosy renifer

THE BLUE-NOSED REINDEER

OPOWIEŚĆ o JOHNIE JUSTINIE MALLORYM

Przełożył Robert J. Szmidt

Też coś – mruknął Mallory, wchodząc do biura ze zwinętym egzemplarzem „Gońca wyścigowego” pod pachą. – Jak się nad tym dobrze zastanowić, czyste oszustwo.

Winnifreda Carruthers odwróciła się do niego, ocierając pot z pulchnej twarzy.

– Nie podoba ci się sposób, w jaki przystroiłam choinkę? – zapytała.

– Choinki, moja droga, powinny mieć kolor zielony – odparł detektyw.

– To, że na twoim Manhattanie miały taką barwę, nie oznacza wcale, że wszędzie muszą być takie same, Johnie Justynie – zgasiła go współpracowniczka. – Osobiście uważam, że fioletowy ko-

lor jest o wiele przyjemniejszy dla oka. – Zdmuchnęła niesforny kosmyk siwych włosów z czoła i cofnęła się o krok, aby podziwiać swoje dzieło. – Nie sądzisz, że przydałoby się trochę więcej ozdób?

– Jeśli dołożysz choć jedną bombkę, to cholerne drzewko załamie się pod własnym ciężarem.

– To może chociaż lametę? – zasugerowała.

– Przecież to tylko służbowa choinka, Winnifredo – powiedział Mallory. – Jeśli ludzie potrzebują agencji detektywistycznych, przychodzą do nich bez względu na to, czy stoją w nich choinki czy nie.

– Dzięki, od razu poczułam się lepiej – rzuciła. – Nanizalam na nitkę ziarenka popcornu, ale... – Spojrzała z wyrzutem na przypominającą człowieka, lecz przy tym bezwzględnie kocia sylwetkę spoczywającą na parapecie, skąd było świetnie widać padający śnieg.

– Tak. Rozumiem – bąknął Mallory. – Z pewnością wolałaby, żebyś raczej nanizala na tę nić rząd zdechłych myszy, a nawet dwa.

– Z pewnością to ja bym wolała sama je pozabijać – wymruczało stworzenie. – Wy za szybko to robicie. A przez to traci się całą zabawę.

– Czujemy potworny głód krwi w te święta, nieprawdaż, Felino? – zapytał detektyw.

– Ja zawsze się tak czuję – zapewniła dziewczyna-kot, nie odrywając wzroku od opadających płatków śniegu.

– O tym przecież mówiłem – dodał sardonicznie Mallory.

– Muszę odpocząć przez chwilę – wtrąciła Winnifreda. – Nie mam już tego zdrowia co pięćdziesiąt lat temu.

– Chcesz, żebym założył gwiazdę na szczycie? – zapytał detektyw. – Mam dłuższe ręce.

– Gdybyś był tak uprzejmy – odparła pułkownik Carruthers z wdzięcznością.

– Nie chcesz tego teraz robić – powiedziała Felina.

– Niby dlaczego? – zainteresował się Mallory.

– Bo zaraz będziesz miał gościa.

– Widziałaś go przez okno?

Pokręciła głową i obdarzyła go przeciągłym, kocim uśmiechem.

– Usłyszałam, jak lądował na dachu.

– To gość czy złodziej?

– Albo jeden, albo drugi – zapewniła go Felina.

Mallory podszedł do biurka i wyjął z górnej szuflady pistolet. Potem zaczął się tuż za drzwiami.

- On tędy nie wejdzie – powiadomiła go dziewczyna-kot.
- Zatem które okno wybierze?
- Żadne.
- Nie ma innego sposobu na wejście do tego biura – pokręcił głową Mallory.
- A właśnie że jest – odrzekła Felina, wciąż szczerząc się w uśmiechu.
- Detektyw już otwierał usta, aby spytać ją, jakiż to sposób, gdy nagle z wnętrza kominka rozległ się głośny łomot i przeciągły jęk. Pobiegł tam szybko i wymierzył broń w tłuściocha, który siedział na palenisku, strzepując popiół z jaskrawoczerwonej perleryny.
- Nie umie pan milej przywitać się z klientem? – zapytał mężczyzna, wpatrując się w lufę pistoletu Malloryego.
- Klienci zazwyczaj wchodzi tutaj drzwiami – odparł detektyw, nie opuszczając broni. – Kominem wślizgują się wyłącznie złoczyńcy i niechciani goście.
- Ja bym nie przesadzał z tym ślizganiem – burknął mężczyzna. – Coraz ciaśniejsze kominy dzisiaj stawiają.
- Może zaczęłby pan raczej od wyjaśnień, co pan robił w moim kominie? – zaproponował detektyw.
- Przecież to nasza tradycja. Zamierza pan tak stać z tym

pistolecikiem wycelowanym w moją głowę, czy poda pan otyłemu staruszkowi pomocną dłoń, aby mógł wstać i kto wie, może nawet porozmawiać o interesach?

Mallory obserwował go uważnie przez kolejną minutę, a potem wsunął broń za pasek i pomógł grubasowi stanąć na nogach.

– No, już mi lepiej! – wysapał mężczyzna, otrzepując się z resztek popiołu i prostując długą, siwą brodę. – To wy znaleźliście tego jednorożca w sylwestrową noc, nieprawdaż, i odkryliście przekręt z Pucharem Quatermaina? Ludzie powiadają, że agencja detektywistyczna Mallory & Carruthers jest najlepsza w mieście.

– Chyba tylko dlatego, że jest tutaj jedyna – odparł Mallory. – Czym możemy panu służyć?

– A z kim ja rozmawiam? Z Mallorym czy z Carruthersem?

– Nazywam się John Justin Mallory a to moja współpracownica, pułkownik Winnifreda Carruthers.

– A to? – Mężczyzna wskazał na Felinę.

– To nasz biurowy kot – wyjaśnił detektyw. – A kim pan jest?

– Wątpię, by pan o mnie słyszał. Nie pochodzę z tego miasta.

– Co nie zmienia faktu, że będziemy potrzebowali pańskiego nazwiska do podpisania kontraktu – wtrąciła Winnifreda.

– Ależ oczywiście, moja droga – przyznał mężczyzna. – Jestem Nick.

– Nick Grek? – zapytała pułkownik Carruthers.

Obdarzył ją uśmiechem.

– Nick Święty.

– Czym zatem możemy panu służyć, panie Święty? – Winnifreda zadała kolejne pytanie.

– Mów mi Nick, wszyscy tak się do mnie zwracają.

– Niech będzie... W czym możemy ci pomóc, Nick?

– Okradziono mnie – odpowiedział. – Straciłem coś niezwykle cennego. I chcę to odzyskać.

– Co zostało ukradzione?

– Renifer.

– Renifer? – powtórzył za nim Mallory.

– Zgadza się.

– Mówimy o takim prawdziwym, żywym? – dopytywał detektyw. – Nie o ceramicznej albo jaspisowej figurce?...

– O jak najprawdziwszym żywym zwierzęciu – zapewnił go Nick Święty.

– Wiedziałem – mruknął Mallory. – Najpierw jednorożec,

potem różowe słońce, a teraz to. Dlaczego zawsze muszę robić w zwierzakach?

– Co pan tam mamrocze? – zapytał klient.

– Nie, nic takiego – uspokoił go detektyw. – Ale nie chodzi tutaj przypadkiem o Rudolfa?

– Tego renifera nazwałem Jasper – odparł Nick Święty.

– Chociaż na Manhattanie raczej nie roi się od reniferów – powiedział detektyw – wolałbym, aby mi pan opisał to zwierzę ze szczegółami i wyjaśnił, dlaczego jest takie cenne.

– Jasper wygląda normalnie, jak każdy renifer – zaczął mężczyzna. – Tylko ma niebieski nos.

– Ale nie popija ukradkiem?

– Nie widzę w tym nic śmiesznego, panie Mallory – zachnął się klient. – Muszę go odzyskać do Wigilii, a od niej dzielą nas już tylko cztery noce.

– Wróćmy jeszcze do tego nosa. – Mallory nie dawał za wygraną. – Czy on spełnia jakieś dodatkowe funkcje... na przykład świeci w ciemnościach?

– Wie pan, w jaki sposób astronomowie obliczają prędkość oddalania się ciał niebieskich od Ziemi? Chodzi o przesunięcie barwy czerwonej – wyjaśnił Nick Święty. – A dzięki przesunięciu barwy niebieskiej określa się prędkość zbliżania

tych obiektów. Tam, gdzie pracuję, pęta się sporo kosmicznego śmiecia, wie pan, stare satelity, promy kosmiczne i cała ta reszta, a stary, dobry Jasper ostrzegał mnie zawsze, jeśli znalazłem się zbyt blisko któregoś z nich. Im jaśniejszy miał nos, tym szybciej musiałem zmienić kurs, aby uniknąć kolizji.

– Wyczuwał je jakoś – domyślił się detektyw.

– Nie mam pojęcia, jak to robił, panie Mallory. Wiem tylko, że jego metoda była niezawodna. Bez Jaspera będę łatwym celem dla każdej rakiety naprowadzanej na podczerwień.

– Rozumiem – poddał się detektyw. – A gdzie pan go trzymał? Na biegunie północnym?

– Tam jest cholernie zimno – odparł Nick Święty. – Mam tam tylko skrzynkę pocztową. Nie, trzymałem Jaspera na ranczu reniferów w Słonecznej Dolinie, na północ od miasta, na terenie hrabstwa Westchester.

– Kiedy zauważył pan jego zniknięcie?

– Około trzech godzin temu.

– I dotąd nie otrzymał pan żadnego żądania okupu?

– Jeszcze nie – potwierdził Nick Święty.

– Kto jest właścicielem tego rancza reniferów w Słonecznej Dolinie?

– Stary Grek imieniem Aleksander.

– Pokłócił się pan ostatnio z nim albo którymś z jego ludzi?
– Na pewno nie było to nic takiego, żeby zaraz chciał ukraść mi renifera.

– A coś takiego, żeby zechciał go zabić? – zapytał Mallory.

– Ugryź się pan w język, panie Mallory! Bez Jaspera podczas lotu będę jak cel na strzelnicy!

– Czy pan aby nie przesadza z tymi zagrożeniami? – zdziwił się detektyw. – Słyszałem, że latanie jest najbezpieczniejszym sposobem podróżowania.

– Polataj pan sobie nad Irakiem albo Iranem, a potem pogadamy – odciął się Nick Święty.

– Wezmę to pod rozwagę – rzekł pojednawczo Mallory. – Zna pan może kogoś, komu zależałoby na tym reniferze?

Mężczyzna pokręcił głową.

– Nie rozumiem, dlaczego ktoś miałby chcieć mnie okradać. Jestem najbardziej przyjaznym facetem na tym świecie. Zawsze gotowy zawołać ho, ho ho! Zawsze radośnie uśmiechnięty. Zawsze pierwszy zakładam sobie abażur na głowę podczas dorocznego zjazdu... Nie, nie znam nikogo, kto by mnie nie lubił.

– Cóż, w takim razie pozostaje nam założenie, że Jaspera wprowadzono dla okupu – oświadczył Mallory. – Pułkownik

Carruthers i ja zrobimy wszystko co w naszej mocy, ale radzę panu z dobrego serca, proszę się teraz nie ruszać od telefonu. Nie zdziwi mnie, jeśli w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin ktoś zadzwoni i poinformuje, ile chce i gdzie ma pan zostawić pieniądze.

– Pieniądze?

– Na okup.

– Zatem przyjmuje pan moją sprawę? – upewnił się Nick Święty. – Doskonale! Wracam do domu i czekam na telefon.

– Ale proszę tym razem skorzystać z drzwi – przypomniał mu detektyw.

– Nie ma pan za grosz poczucia stylu, panie Mallory – zganił go klient.

– Ale mam za to doskonale wykształcony zmysł ekonomiczny – odrzekł detektyw. – Zanim nas pan opuści, poproszę o zaliczkę.

– Zaliczkę? A mnie się wydawało, że i bez niej dobrze nam idzie.

– Pójdzie nam jeszcze lepiej, jeśli będę wiedział, że moje wysiłki są skromnie wynagradzane.

– Ile pan bierze?

– Pięćset za dzień, plus wydatki i dziesięcioprocentowa

premia, jeśli odzyskamy Jaspera przed Wigilią.

– To zdzierstwo!

– Nie – zaprotestował Mallory. – To biznes.

– Niech wam będzie... – mruknął Nick Święty, wyciągając z kieszeni gruby plik banknotów i rzucając go z hukiem na biurko. – Ale nie zdziwcie się, jeśli pod choinką znajdziecie w tym roku tylko różgi.

* * *

– Wydaje mi się, że najrozsądniej będzie skontaktować się na początek z Grundym – powiedział Mallory.

Felina zasyczała.

– Musisz to robić, Johnie Justinie? – zapytała Winnifreda. – On jest taki straszny.

– Ale jest też najpotężniejszym demonem Wschodniego Wybrzeża – zauważył detektyw. – Rozpoczęcie dochodzenia od niego wydaje mi się najlogiczniejszym posunięciem.

– Nie zamierzasz chyba udać się do jego zamku?

– Ależ skąd, zastanawiałem się raczej nad zaproszeniem go tutaj.

– Nie chcę mieć z tym nic wspólnego – stwierdziła Winni-

freda i zaraz podeszła do szafy, aby zabrać z niej swój płaszcz oraz kapelusz. – Nie znoszę jego widoku. Zrobię w tym czasie zakupy.

– Był naszym pierwszym klientem – przypomniał jej Mallory.

– Nie ufałam mu wtedy i teraz też nie mam zamiaru – oświadczyła pułkownik Carruthers i opuściła biuro, trzaskając drzwiami.

– A ty co zamierzasz? – zapytał detektyw Felinę. – Idziesz czy zostajesz?

– Zostaję – powiedziała dziewczyna-kot.

– To miło z twojej strony.

– Och, przecież wiesz, że w końcu i tak cię opuszczę, Johnie Justinie – dodała. – Tylko że to jeszcze chwilę potrwa.

– Ale mnie pocieszyłaś.

Mallory podniósł słuchawkę i wystukał numer: G-R-U-N-D-Y i odczekał moment. A potem, nagle, Grundy zmaterializował się na środku pokoju. Był wysoki, mierzył sześć stóp i kilka cali, jeśli liczyć do wzrostu wydatne rogi wyrastające z jego tysego czoła. Oczy płonęły mu intensywną żółcią, nos miał wąski, orli, zęby białe i lśniące, a skórę czerwoną. Koszulę i spodnie nosił z pomiętego atłasu, kołnier i mankiety były wyszyte

futrem jakiegoś białego, polarnego zwierza. Do tego grube, lśniące czarne rękawice i także buty. Z szyi zwisały mu na złotym łańcuchu dwa wielkie magiczne rubiny. Gdy robił wydech, z jego ust i nozdrzy wydobywały się niewielkie obłoczki pary.

– Przyzywałeś mnie, Johnie Justinie Mallory? – zapytał Grundy.

– Tak – odparł detektyw, a Felina cichcem wycofała się do kąta pokoju. – Słyszał pan kiedyś o facecie nazwiskiem Nick Święty?

– O tym nadzianym gościu z Północy? – upewnił się demon. – Czy to nie on jest właścicielem „Przytuliska Kringlemana”?

– Tak, to on.

– A co z nim?

– Właśnie zginął mu najcenniejszy renifer – wyjaśnił Mallory. – Pomyślałem, że może pan coś o tym wiedzieć.

– Mogę i wiem.

– Ma pan już władzę, pieniądze, kolekcję klejnotów – wymieniał Mallory – krótko mówiąc, wszystko, czego ucieśnienie zła może zapragnąć. Ale po jaką cholere panu renifer jakiegoś dziadka?

– Ja go nie ukradłem, Johnie Justinie – sprostował Grundy.

– Ja tylko powiedziałem, że wiem o kradzieży.

– A co pan o niej wie?

– Wiem, kto jej dokonał.

– Świetnie – powiedział detektyw. – Kto taki?

Demon roześmiał się.

– Obawiam się, że to nie będzie takie proste, Johnie Justinie – stwierdził. – Czyż twoją życiową rolą nie jest wykrywanie tych złoczyńców, których ja muszę za wszelką cenę kryć, utrudniając jednocześnie życie wszelkim moralizatorom?

– Czy pańskie odpowiedzi muszą zawsze brzmieć jak sentencje ze „101 zabaw filozoficznych”? – westchnął Mallory.

– Taka już moja natura.

– Właśnie, to pańska natura. Ale powie mi pan, kto ukradł tego renifera czy nie?

– Na pewno nie powiem.

– Zatem znajdę go bez pańskiej pomocy – oświadczył detektyw. – Ale gdyby ułatwił mi pan życie, podzieliłbym się z panem honorarium.

– W mojej umowie o pracę nie ma takiego punktu, jak ułatwianie pańskiego życia, Johnie Justinie Mallory – powiedział Grundy i zaczął się śmiać. A gdy tak rechotał, jego ciało stawało się coraz mniej materialne i coraz bardziej przezroczyste. Po

chwili zniknął zupełnie i tylko wciąż jeszcze słyszalny śmiech świadczył o jego niedawnej bytności w tym miejscu.

– Cóż – mruknął Mallory – mimo wszystko warto było spróbować.

Nalał sobie szklaneczkę whisky i zaczął czekać na powrót Winnifredy.

– Pokazał się? – zapytała w drzwiach.

– Ale nie pomógł.

– A kiedyś pomagał?

– Mimo wszystko darzę go pewnym szacunkiem – rzekł Mallory. – Jest jedyną osobą na waszym Manhattanie, oczywiście oprócz ciebie, która jeszcze nigdy mnie nie okłamała.

– Co teraz zamierzasz zrobić, Johnie Justinie? – zapytała Winnifreda.

– Chyba powinienem poczekać, aż porywacze zadzwonią do Nicka Świętego – odparł detektyw. – Przecież ten renifer, do cholery, nikomu do niczego się nie przyda. Ale z drugiej strony rozprostowanie nóg też mi nie zaszkodzi, niech klient wie, że uczciwie zarabiamy na honorarium.

– Gdzie się wybierasz?

– Na ranczo reniferów w Słonecznej Dolinie. Tam powinienem zacząć – powiedział Mallory. – Pojadę sam. Ty zostań

tutaj, na wypadek gdyby Nick Święty zadzwonił. Dasz mi znać, jeśli ktoś skontaktuje się z nim w sprawie okupu.

* * *

– Witam na ranchu reniferów w Słonecznej Dolinie – powiedział starszy mężczyzna, gdy Mallory zbliżył się do stajni. – Nazywam się Aleksander Większy.

– Większy niż co? – zapytał detektyw.

Aleksander zrobił srogą minę.

– Nie cierpię, gdy ludzie zadają mi takie pytania!

– W gruncie rzeczy przyszedłem pytać o coś zupełnie innego – oznajmił Mallory. – Jestem prywatnym detektywem, pracuję dla Nicka Świętego.

– Ach! Zatem chodzi o Jaspera – domyślił się ranczer.

– Zgadł pan.

– Proszę za mną. – Aleksander zaprowadził go do stajni. – Mam tutaj pięćdziesiąt boksów, jak pan widzi. Jasper zajmował numer czterdziesty trzeci, tam przy końcu przejścia. Kiedy przyszedłem dzisiaj rano, aby go nakarmić, boks był pusty.

– Zeszłej nocy padał śnieg – powiedział detektyw. – Nie zauważył pan żadnych odcisków stóp albo tropów renifera?

Aleksander zaprzeczył ruchem głowy.

– Nic. Jakby zniknął z powierzchni ziemi.

– Czy coś takiego zdarzyło się już wcześniej?

– Pyta pan, czy już mi kiedyś skradziono Jaspera? Ależ skąd, nigdy.

– A czy kiedykolwiek został pan okradziony z czegoś innego?

– Nie. Większość ludzi nie ma pojęcia, że to miejsce w ogóle istnieje.

– Nie będzie pan miał nic przeciw temu, że trochę się rozejrzę?

– Proszę się czuć jaku siebie – powiedział Aleksander.

* * *

Mallory spędził następne kilka minut na spacerowaniu tam i z powrotem po stajni, zaglądając po drodze do wszystkich boksów. Znalazł w nich czterdzieści dziewięć reniferów, ale żaden z nich nie miał niebieskiego nosa. Rozważył też sprawdzenie terenu wokół zabudowań, ale ponieważ śnieg padał od samego rana, uznał, że wszelkie ślady powstałe podczas uprowadzenia Jaspera będą już niewidoczne.

W końcu wrócił do właściciela.

– Za jakiś czas zadam panu kilka kolejnych pytań – uprzedził.

– Mnie tam cieszy ludzkie towarzystwo – wzruszył ramionami Aleksander. – Jestem tu tylko ja i te renifery. – Nagle w oddali rozległ się głośny skrzek. – No i czasem banshee zagnieździ się na krokwi – dodał.

Mallory zasiadł za biurkiem i pociągnął łyczek ze służbowej butelki.

– Gdzie ty byś szukała renifera? – zapytał. – Gdzie można by go trzymać podczas negocjowania okupu?

– W zoo – zasugerowała Winnifreda.

– Na torze wyścigowym – dodała Felina.

– W schronisku dla psów – pomyślał na głos detektyw.

– Chyba powinniśmy się rozdzielić – zaproponowała pułkownik Carruthers. – Dzięki temu sprawdzimy większy teren. Ja zajmę się ogrodem zoologicznym, ty idź na tor wyścigowy.

– Ja zajmę się sprawdzeniem zoo! – Mallory wpadł jej w słowo. – Od ostatniego wypadku ani ja, ani Felina nie jesteśmy mile widziani na terenach wyścigów.

– Dobrze. – Winnifreda zgodziła się od razu i spojrzała na zegarek. – Spotkajmy się przy schronisku dla psów za, po-

wiedzmy, trzy godziny.

– Mnie to pasuje.

Felina skoczyła nagle przez pokój i uczepliła się ramion Mallory ego z takim impetem, że nieomal wylądował na ścianie.

– Idę z tobą, Johnie Justinie – wymruczała z radością.

– Dlaczego mnie zawsze spotyka to szczęście? – burknął Mallory.

* * *

– Posłuchaj – powiedział detektyw, gdy zbliżyli się do bram ogrodu zoologicznego. – Cały czas masz trzymać się blisko mnie.

– Tak, Johnie Justinie – wymruczała Felina.

– Mówię poważnie – dodał. – Jeśli sprawisz jakiś kłopot, wywalą cię za bramę.

– Tak, Johnie Justinie – wymruczała Felina.

– Czy ty w ogóle wiesz, jak wygląda renifer? – zapytał.

– Tak, Johnie Justinie – wymruczała Felina.

– Dlaczego jakoś ci nie mogę zaufać?

– Tak, Johnie Justinie – wymruczała Felina.

Minęli sfinksa i gryfa, które siedziały obojętnie na swoich

otwartych wybiegach, a potem natknęli się na grupę studentów – było wśród nich sporo ludzi oraz kilka goblinów i gadów – którzy oblegali dom gorgon, żądając wypuszczenia ich na wolność.

– Chodź no tutaj, kolego – poprosił jeden z pikietujących, zielonoskóry goblin sięgający Mallory emu do pasa. – Czy ty i twoja dziewczyna możecie podpisać naszą petycję?

– Prawdę powiedziawszy, to nie moja dziewczyna – zastrzegł się detektyw.

– Nie mamy czasu na takie formalności – zbył go stwór. – Z pewnością też nie zgadzasz się na trzymanie gorgon w zamknięciu.

– Prawdę powiedziawszy, niewiele się nad tym zastanawiałem – przyznał Mallory.

– W takim razie, kolego, najwyższa na to pora – powiedział student. – Podpisz naszą petycję o uwolnienie ich wszystkich.

– A jakie tereny one normalnie zamieszkują? – zapytał detektyw. – Afrykę? Azję?

– W zasadzie to park Gramercy – odparł goblin.

Cała budowla zadrżała od głośnego ryku dobiegającego z jej wnętrza.

- A czym się żywią?
 - No wiesz... tym co zawsze.
 - Czyli?
 - Ludźmi – odpowiedział niechętnie student.
 - A co z goblinami?
 - Czyś ty oszalał? Chciałbyś umieścić goblinożerne potwory w samym sercu parku Gramercy? Co z ciebie za okrutnik?
- Goblin przyglądał im się przez chwilę, a potem odszedł bez słowa i Mallory, ująwszy Felinę za rękę, ruszył dalej, mijając wybiegi dla harpii i jednorożców. Tam zauważył pracownika, który właśnie kończył karmić zwierzęta. Przywołał go do barierki.
- Przepraszam – powiedział – gdzie pan trzyma renifera?
 - Ja? – zdziwił się dozorca. – Ja nie mam renifera. Tylko psa. I żonę, która wydziera się na mnie cały boży dzień. No i trzech synów, którym nie spieszno do roboty, oraz dwie córki, tym z kolei nie chce się wyjść za męża. Posiadam studebakera z tysiąc dziewięćset trzydziestego piątego. Roadstera. Ale renifera nie mam. Gdzie bym go trzymał?
 - Nie chodziło mi o pana osobiście – sprecyzował Mallory.
 - Pytałem raczej, gdzie wy tu w zoo trzymacie renifery.
 - Nawet nie jestem pewien, czy w ogóle jakieś mamy – odparł dozorca, drapiąc się po głowie. – Ale tu zaraz jest pegaz,

jeśli pana dziewczyna lubi podziwiać takie piękne czworonożne zwierzaki.

– My szukamy renifera. – Mallory błysnął pracownikowi licencją detektywa. – Jest pan pewien, że żadnego wam dzisiaj nie dostarczono?

– Nie widziałem tutaj niczego podobnego – zapewnił go dozorca. – Ale w budynku obok trzymamy śliczniutką Meduzę, jeśli interesują was takie cuda.

– Kto może wiedzieć na pewno, czy macie tutaj renifery? – zapytał detektyw.

– Ja mogę i wiem, że ich nie mamy – odpowiedział pracownik zoo. – Tak na marginesie, lepiej niech pan pilnuje swojej dziewczyny, bo zaraz spadnie i zrobi sobie krzywdę.

Mallory odwrócił się i zobaczył Felinę trzydzieści stóp nad ziemią, wspinającą się na pień rozłożystego drzewa, gdzie siedziało kilka banshee, drących się wniebogłosy i obrzucających ją patykami. Drapieżny uśmiech nie zniknął z twarzy dziewczyny-kota, a gdy stwory zobaczyły, że ich wrzaski i rzuty nie odnoszą skutku, podleciały wyżej, na znacznie cieńsze gałązki. Jednakże Felina zwinnie podążała za nimi.

Mallory przeskoczył ogrodzenie i stanął pod drzewem.

– Felino! – wrzasnął. – Złaz na dół!

Spojrzała na niego przelotnie, uśmiechnęła się, ale kontynuowała wspinaczkę. Detektyw zaś usłyszał za sobą głośne warknięcie. Odwrócił się i zobaczył ogromne, niezwykle barczyście, słoniowate stworzenie o trzech głowach.

– Powiedziałbym – odezwała się pierwsza głowa – że to coś wygląda niezwykle smakowicie. Zaczynamy konsumpcję?

– Tak, mnie to też wygląda na coś, co smakowałoby wybornie z cebulką, grzybkami oraz odrobiną sosu winnego – zgodziła się druga głowa.

– Zatem zgadzacie się na niego? – zapytała pierwsza.

– Nie gadam z wami, chłopaki – odparła trzecia.

– Daj spokój, Roderyku – powiedziała pierwsza. – Przecież cię przeprosiłem.

– Mam to gdzieś – nadąsała się trzecia.

– Co ty mówisz, Roderyku – wtrąciła druga. – Przecież Reginald cię przeprosił. Czy to nie wystarczy?

– Nie – burknęła trzecia. – Ilekroć zgadzamy się na zjedzenie człowieka, zawsze on go konsumuje.

– Przecież człowiek i tak trafi do naszego wspólnego żołądka – zauważył Reginald. – Jaka to więc różnica?

– Skoro nie ma żadnej, pozwól, że tego człowieka zjem sam – zaproponował Roderyk.

– No, jeśli dzięki temu zaczniesz się do nas znów odzywać... – wtrąciła druga głowa, wzdychając z rezygnacją.

– Jedną chwileczkę, Mortimerze – powiedział Reginald. – Kto pozwolił ci ustalać nowe zasady? Ja go pierwszy zobaczyłem, więc i ja powinienem go pożreć.

– To nie fair! – marudził Roderyk. – Ty ich zawsze zauważasz pierwszy i potem zjadasz, bo ja jestem krótkowidzem. Zaczynam się zastanawiać, czy nie rozdeptać tego człowieka na miazgę, żebyś nie miał czego przeżuwać.

– Hej, koledzy, nie ma się o co kłócić – wymamrotał Mallory cofając się w stronę ogrodzenia.

– Czy nikt ci nigdy nie powiedział, że wtrącanie się w kłótnię rodzinną jest w złym tonie? – zapytał Reginald. – Siedź cicho i czekaj, aż zdecydujemy, który z nas cię zje.

– Jako potencjalny posiłek też powinienem mieć w tej sprawie coś do powiedzenia – zaprotestował detektyw.

– Wiecie co, nigdy wcześniej nie patrzyłem na ten problem od tej strony – przyznał Mortimer – ale teraz wydaje mi się, że on ma absolutną rację. Powinniśmy jego zdanie brać pod uwagę.

Wszystkie trzy głowy odwróciły się w stronę Malloryego.

– Wybieraj, przez którego z nas chcesz być zjedzony – polecił Reginald.

– To zbyt ważna decyzja, żeby ją podejmować tak pochopnie – odrzekł detektyw. – Co powiecie na to, żebym sobie wszystko gruntownie przemyślał i potem do was wrócił?

– Nie ma sprawy – zgodził się Reginald – tylko nie oddalaj się zbytnio.

– Racja – poparł go Roderyk. – Jak gramy fair, to fair.

W tym momencie z drzewa dobiegł ich przeraźliwy skrzek i Felina przemknęła w powietrzu, spadając prosto na szeroki grzbiet trzygłowej istoty.

– Mówiłem ci, żebyś się mnie trzymała – powiedział Mallory.

– Ale one wyglądały tak smacznie.

– Złamałaś dane mi słowo. Jeśli przeżyję następne pięć minut, będziesz miała za swoje!

– To nie była moja wina – poskarżyła się dziewczyna-kot.

– A niby czyja? – zapytał detektyw.

– Flm... nienawidzę przerywać takich rozmów – wtrącił Mortimer – ale wciąż nie zdecydowałeś, który z nas może cię pożreć.

– To przez nią tutaj wpadłem – rzucił zde gustowany Mallory. – Ją sobie zjedzcie.

– Jak mamy to zrobić, skoro nie możemy jej dosięgnąć?

– Złapię ją dla was – zaofiarował się detektyw i wspiął na grzbiet stworzenia po jego ogonie.

– Chyba nikt im nigdy nie powiedział, że nie są zbyt bystry – wyszeptał, gdy znalazł się obok dziewczyny-kota. – Czy zdołasz skoczyć stąd za ogrodzenie?

– Jasne – zapewniła go Felina. – Skakanie wychodzi ludziom-kotom najlepiej.

– Miło mi to słyszeć. Zatem możesz skoczyć tam i sprowadzić jakąś pomoc?

– Wydawało mi się, że jesteś na mnie zły...

– Porozmawiamy o tym później – stwierdził detektyw. – Teraz muszę zadbać o to, by pozostać przy życiu, i to w jednym, nieprzeżytym kawałku.

– Najpierw musisz powiedzieć, że nie jesteś już na mnie zły – upierała się Felina. – Potem sprowadzę pomoc.

– Dobrze – poddał się Mallory, zastanawiając się jednocześnie, jak wysokie ciśnienie ma w tym właśnie momencie. – Nie jestem już na ciebie zły.

Pokręciła głową.

– Musisz to powiedzieć z większym przekonaniem i szczerością.

– Hej! Co tam się dzieje? – zapytał Roderyk.

– Właśnie jej mówię, że nie jestem na nią zły – wyjaśnił detektyw.

– A co to ma wspólnego z nami? – zdziwił się Reginald. – Jesteśmy głodni.

– Oni są głodni, Felino – wyszczał Mallory. – Wystarczy im jeszcze godzina, nie dłużej, żeby skapowali, że robimy ich w konna, a wtedy będzie po mnie.

– No tak – odparła dziewczyna-kot i zręcznie przeskoczyła nad ogrodzeniem.

– Hej, ona ucieka! – wydarł się Roderyk.

– Zgadza się – uspokoił go detektyw – ale wciąż macie mnie.

– Ale ciebie nie możemy dosięgnąć!

– Nie macie pojęcia, jak mi z tego powodu przykro – zapewnił ich Mallory, spoglądając w stronę wybiegu dla jednorożców, przy którym Felina rozmawiała ze starym dozorcą zwierząt. W końcu facet skinął głową i ruszył za nią chodnikiem.

– No dobra, chłopaki – powiedział, kiedy stanął przy ogrodzeniu – wypuście pana detektywa.

– Przecież my chcieliśmy tylko z niego trochę zażartować – zapiszczał Roderyk.

– No i może nagryźć odrobinę – dodał Reginald.

– Pamiętajcie jeszcze, co wam mówiłem? – zapytał stary dozorca. – Jeśli będziecie zjadać gości, wkrótce nie będzie tu nikt zaglądał i gdzie wszyscy wylądujemy?

– A jeśli mu tylko odgryziemy nogę albo dwie? – zaproponował Reginald.

– Albo go wypuszczacie, albo przez tydzień macie szlaban na filmy dokumentalne o zachowaniach godowych waszych samic – zagroził dozorca.

– Nie! – wrzasnął Mortimer. – Już go puszczamy! Złaż natychmiast z naszego grzbietu!

Mallory ześlizgnął się ze zwierza i pognął do ogrodzenia.

– Wiecie, on i tak wyglądał na łykowatego – zauważył Roderyk.

– A poza tym to detektyw – dodał Mortimer. – Próbowaliście kiedyś domyć takiego?

Mallory pokonał ogrodzenie, w czasie gdy trzygłowa bestia rozważała rozmiar strat, jakie właśnie poniosła, i wspominała sprośnie ostatnio oglądany film dokumentalny.

– Dzięki. – Detektyw uściskał dłoń dozorca jednoróżców.

– To przez ludzi takich jak pan mięsożercy mają zaszarganą opinię – odparł staruszek, odwrócił się na pięcie i odszedł do swoich podopiecznych.

Mallory spojrzął na zegarek i zrozumiał, że za chwilę powinien spotkać się z Winnifredą przy schronisku dla zwierząt. Ruszył więc szybkim krokiem w stronę samochodu, mając cichą nadzieję, że Felina zgubi się po drodze. Ale moment później poczuł jej dziewięćdziesięciofuntowy ciężar na plecach i przytulne mruczenie w uchu.

– Takie już moje szczęście – westchnął. – Niezmienne.

* * *

– Nie miałaś szczęścia na torze? – zapytał Mallory, gdy spotkał Winnifredę przed wejściem do schroniska dla psów.

– Nie – odparła. – A jak wam poszło w zoo?

– Można powiedzieć, że ja miałem szczęście. Wyszedłem stamtąd z życiem.

– A propos – wtrąciła Winnifreda. – Rozmawiałam z Nickiem Świętym, nadal nikt się do niego nie odezwał w tej sprawie.

– To cholernie dziwne – zafrasował się detektyw. – Co innego można zrobić z takim reniferem?

– Można go zjeść – podsunęła Felina.

– Co o tym myślisz, Johnie Justinie? – zapytała pułkownik Carruthers.

Pokręcił głową.

– Skoro o to tylko im chodziło, dlaczego ukradli najcenniejszy okaz? Jego nosa przecież nikt by nie tknął.

– Może przestaniemy marnować czas i zajmiemy się sprawdzeniem tego schroniska? – zaproponowała Winnifreda.

– Chwileczkę – poprosił Mallory. Zaprowadził Felinę do samochodu, usadził ją na tylnej kanapie, zapiął pas bezpieczeństwa, a potem zamknął wszystkie drzwi.

– Sprawiała ci jakieś problemy w zoo? – spytała pułkownik Carruthers, gdy znów do niej dołączył.

– W schronisku dla psów mogłaby sprawić o wiele większe – odparł detektyw. – Wiem, że kłopoty to nasza zawodowa specjalność, ale ona sprawia wrażenie, jakby chciała z nich uczynić również nasze hobby.

Przeszli do biura, w którym powitał ich siedzący za biurkiem wielki, włochaty mężczyzna o twarzy bernardyna.

– Dobry wieczór, drodzy przyjaciele – powiedział, śliniąc się odrobinę z kącika ust. – Witam w manhattańskim schronisku dla psów. Czym mogę służyć?

– Szukamy renifera – poinformował go Mallory.

– Takiego z niebieskim nosem – dodała Winnifreda.

Mężczyzna wydał z gardła basowe warknięcie.

– Ale dlaczego szukacie go tutaj?

– Powiedzmy, że przywiodło nas przecucie – odparł detektyw.

– Cóż mogę powiedzieć, nie widzę przeszkód, żebyście dokonali inspekcji naszej placówki, aczkolwiek zapewniam, że nie znajdziecie na jej terenie tego, czego szukacie – mówiąc to, urzędnik zaczął lekko dyszeć. – Pozwólcie, że przydzielę wam jednego z naszych opiekunów. – Wdusił przycisk na blacie biurka i po chwili do środka wszedł szczupły mężczyzna o skórze białej jak kreda i do tego poznaczonej równomiernie czarnymi plamkami. – Tyge – odezwał się urzędnik – oprowadź tych dwoje po naszym schronisku.

– Już się rrobi – odparł Tyge i zwrócił się do Winnifredy. – Miło mi panią poznać, madame.

– I wzajemnie – powiedziała Winnifreda, wyciągając dłoń. Tyge ujął ją w swoje ręce, pochylił się i dokładnie obwąchał, a potem powtórzył całą procedurę z Mallorym.

– Prroszę za mną – poprowadził ich do drzwi z tyłu biura.

Znaleźli się w wąskim przejściu pomiędzy dwoma rzędami wybiegów, wewnątrz których znajdowali się mężczyźni, kobiety i dzieci.

– Wydawało mi się, że to jest schronisko dla psów – rzucił

Mallory.

– Tak, rrracja, tak, tak, tak – potwierdził Tyge. – Każda z tych osób pragnie pieska na święta, więc gdy trafi nam się jakiś bezdomny kundelek, puszczamy go tym przejściem, żeby wybrał sobie nowego pana, z którym pójdzie do domu.

– Tam skąd pochodzę, na wybiegach siedzą pieski, nie ludzie – wyjaśnił detektyw.

– Żaden pies nie zasługuje na tak okrrropne traktowanie – stwierdził kategorycznie Tyge, wywarkując przedostatnie słowo. Jego górna warga podwinęła się, ukazując rząd równych białych zębisk. – Nigdy nie słyzałem o równie brrrutalnych metodach działania. Wyobraźcie to sobie, psy zamknięte w klatkach i ludzie chodzący pomiędzy nimi i wybierający, którego wziąć ze sobą.

– Bywa i tak – mruknął detektyw. – Czy macie tu jakieś renifery?

– Jeszcze nigdy nie słyzałem o rreniferze, który chciał mieć pieska. – Tyge zachichotał. – Ale heca!

– Nie będziemy już marnować pańskiego cennego czasu – podziękowała mu Winnifreda.

– Cała przyjemność po mojej stronie, madame – rzekł Tyge. – Czy mógłbym panią poprosić o małą przysługę, zanim

opuści pani to miejsce?

– Słucham?

Odwrócił się do niej plecami.

– Czy mogłaby pani podrapać mnie delikatnie między łopatkami?

* * *

Winnifreda wyciągnęła rękę i zrobiła, o co prosił.

– A teraz pod brodą?

Pułkownik Carruthers podrapała go także w tym miejscu i nagle jego lewa noga zaczęła spazmatycznie drgać.

– Już wystarczy, proszę pani – oznajmił. – Bardzo dziękuję.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odparła Winnifreda i ruszyła za Mallorym do wyjścia.

– Tak, rzeczywiście marnowaliśmy tutaj czas – przyznał detektyw. – Lepiej skontaktujmy się z Nickiem Świętym i sprawdźmy, czy nadal nikt się do niego nie odezwał.

– Lepiej uratujmy najpierw nasz samochód – przerwała mu Winnifreda, gdy pierwsza wyszła na parking i zobaczyła, że Felina zdołała się w jakiś sposób oswobodzić i sterczy teraz na

dachu wozu, otoczona przez trzech jeszcze bardziej po psiemu wyglądających pracowników schroniska, którzy przywarli do maski i bagażnika. Dziewczyna-kot odpowiadała na ich warknięcia, sycząc jak wszyscy diabli i prężąc pazury.

Mallory zaszedł ją od tyłu, objął ramionami i podniósł, choć wrywała się i rzucała. Cała trójka pracowników, widząc to, pognąła z wyciem w kierunku bezpiecznego schronienia.

– Nie wstyd ci? – zapytała Winnifreda, gdy detektyw zdołał upchać Felinę we wnętrzu wozu i odpalił silnik.

Dziewczyna-kot zignorowała ją i odwróciła się plecami do obojga, aby lizać przedramię.

– Do ciebie mówię, młoda damo! – Pułkownik Carruthers podniosła głos.

– Chyba znów będzie padał śnieg – powiedziała Felina, spoglądając za okno.

– Wiesz – Mallory odezwał się po raz pierwszy od momentu, w którym opuścili schronisko – w chwilach takich jak ta wydaje mi się, że mój Manhattan był jednak lepszy.

Winnifreda odwiesiła słuchawkę.

– Nadal nikt nie zażądał okupu.

– Coś mi się widzi – powiedział Mallory – że powinniśmy odrzucić hipotezę o tym, że nasz renifer został porwany dla

okupu, i zacząć rozważać inne możliwości.

Wrócili do biura i zamknęli Felinę za karę w kuchni, gdzie natychmiast odkręciła kran, aby obserwować z nieprzemijającą fascynacją, jak woda wiruje w odpływie zlewozmywaka.

– Jestem otwarta na wszelkie sugestie – powiedziała Winnifreda – po co jeszcze można ukraść renifera.

– Nie renifera – podkreślił Mallory – tylko niebieskonosego renifera, takiego, co posiada wyjątkowe talenty.

– Wojsko? – zasugerowała pułkownik Carruthers. – Założę się, że zapłaciliby każde pieniądze, byle dostać w swoje ręce zwierzaka umiejącego umykać przed rakietami naprowadzanymi termicznie.

– Nie, raczej nie wojsko – powiedział detektyw.

– Dlaczego nie?

– Jak sama powiedziałaś, daliby wiele za Jaspera. Gdyby go chcieli, toby zebrali wystarczającą kwotę i odkupili go od Nicka.

– A jakby nie chciał im go sprzedać?

– Znaleźliby sposób na to, by go skonfiskować – odparł Mallory.

– Masz rację – przyznała Winnifreda. – Skoro nie wojsko, to kto?

– Tak sobie myślę o tym problemie i myślę – powiedział detektyw – i ciągle wychodzi mi tylko jedno: konkurencja.

– Ale on nie ma konkurencji, Johnie Justinie.

– Na razie nie – zgodził się Mallory – ale mamy cztery dni do Wigilii, a Nickowi brak w zaprzęgu najcenniejszego renifera, który teraz służy komuś innemu.

– A jaki byłby motyw? – zapytała pułkownik Carruthers. – Na pewno nie chęć zysku. Konkurencja musi też rozwozić prezenty po całym świecie... – urwała. – Ktoś, kto ma w sobie tyle szlachetności, by rozdawać prezenty, nie może być zarazem tak nikczemny, aby najpierw ukraść innemu człowiekowi jego renifera.

– Jaki człowiek mógłby ukraść Nickowi Świętemu jego renifera, i to na cztery dni przed Wigilią? – zastanawiał się na głos Mallory.

– Pojęcia nie mam – wyznała Winnifreda.

– Wiem – powiedział detektyw. – I dlatego jutro rano złożę wizytę Aleksandrowi Większemu.

* * *

Mallory zatrzymał samochód obok stajni i wysiadł z niego–

Zatem wrócił pan – powiedział Aleksander Większy, wychodząc mu na powitanie.

– Zgadza się.

– Ma pan więcej pytań?

– I to lepszych – zapewnił go Mallory. – Ale najpierw chciałbym rzucić raz jeszcze okiem na boks Jaspera.

Aleksander zaprosił go gestem.

– Wie pan, który to.

– Tak, dziękuję – rzekł detektyw.

Wszedł do stajni i zaczął mijać kolejne przepierzenia, zaglądając do każdego z nich. Gdy dotarł do numeru czterdzieści trzy, który należał do Jaspera, minął go i nie zatrzymał się, dopóki nie dotarł na koniec stajni, a potem do wyjścia i czekającego tam Aleksandra.

– Widzę, że interes nie za bardzo kwitnie – zauważył.

– To prawda – westchnął właściciel stajni. – Przed Bożym Narodzeniem ruch mam raczej niewielki.

– Jest pan zbyt skromny – powiedział Mallory. – Wczoraj, kiedy tutaj byłem, widziałem czterdzieści dziewięć reniferów, dzisiaj jest tylko czterdzieści jeden, co oznacza, że od mojej ostatniej wizyty sprzedał pan osiem z nich.

– Cóż, przychodzą tutaj, potem odchodzą, sam pan wie,

jak to jest... – Aleksander wzruszył ramionami..

– Nie, nie wiem – zaprzeczył detektyw. – Ale zakładam, że zaraz mnie pan oświeci.

– Co takiego?

– Komu pan sprzedał te renifery?

– To nie pański interes, panie Mallory – powiedział Aleksander Większy.

– Prawdę mówiąc, mam niejasne przeczucie, że jednak mój – odrzekł detektyw. – Czy to była ta sama osoba, która zabrała Jaspera wczoraj rano?

– Zgaduje pan, panie Mallory.

– Ale jestem w tym dobry, panie Większy. Zgaduję na przykład, że za podżeganie do kradzieży renifera Nicka Świętego i pomoc w rabunku dostanie pan dziesięć lat paki. Zgaduję również, że jeśli poda mi pan nazwisko współnika, będę gotów zapomnieć o pańskim udziale w tej sprawie.

– Nie ma mowy.

– Zatem zgaduję, że teraz przejdę do pańskiego biura i sam sobie znajdę te dane.

– Dwa trafienia na trzy, też dobrze – oznajmił ranczer ze złowrogim uśmiechem na ustach. Włożył palce do ust i gwizdnął głośno. Z wnętrza stodoły wypadły trzy miniaturowe postacie,

żadna nieszczęśliwa detektywowi do pasa. – Przedstawiam panu moją ochronę, panie Mallory – powiedział, wskazując na trzy krasnoludki. – Chłopaki, oto pan Mallory, który od tej chwili jest niepożądanym gościem.

– Zaraz go zabijemy – wrzasnął najbliższy z pokurczów.

– Wyrwiemy mu głowę i nasikamy w szyję – dodał drugi.

– Wypatroszymy jak rybę – powiedział trzeci.

– Nie będzie co złożyć do trumny, jak skończymy – ciągnął pierwszy krasnoludek.

– Potniemy go z taką precyzją, że otrzymamy w nagrodę jego uszy i ogon – dorzucił drugi.

– Im więksi są, tym szybciej padają – poinformował trzeci.

– Nawet nie wiedzą, co ich powala.

Mallory tymczasem wycofał się w pobliże samochodu. Ledwie do niego dotarł, otworzył drzwi i wypuścił Felinę. Spojrzała na krasnoludki, uśmiechnęła się i rozczapierzyła palce. Cała dziesiątka długich pazurów zaśniła złowrogo w świetle poranka.

– Ale możemy też – dodał pośpiesznie pierwszy krasnoludek – oszczędzić sobie mnóstwo zachodu i niepotrzebnego rozlewu krwi, dochodząc do rozsądnego porozumienia.

– Racja – rzucił skwapliwie drugi. – Możemy na przykład

przekładać karty. Jeśli on wyciągnie niższą, odejdzie, a jeśli będzie wyższa, niech sobie sprawdza dokumenty w biurze.

– A mnie znowu chwyciło lumbago – pożałił się trzeci.

– Ciebie też? – zapytał pierwszy, gdy Felina zrobiła krok do przodu. – Bo mnie znowu łamie reumatyzm. To pewnie przez tę pogodę.

– A ja niedomagam na nerki – oznajmił drugi z krasnoludków. – I wicie, jak sobie o tym przypomniałem – dodał – to od razu muszę skorzystać z łazienki. – Odwrócił się i uciekł.

– Drzwi w kiblu się zacinają! – zawołał pierwszy, idąc w jego ślady. – Pomogę ci!

– Banda tchórzy! – zawołał za nimi z pogardą trzeci krasnoludek.

– Zatem ty zostajesz i podejmujesz walkę? – zapytał Malory.

– Nie, ale tylko ze względu na religię, którą wyznaję. We wtorki nie mogę walczyć. To kwestia niewzruszonych zasad moralnych.

– Ale dzisiaj mamy piątek – powiedział detektyw.

– Naprawdę? – zmartwił się krasnoludek.

Felina wyszczerzyła zęby i przytaknęła.

– O mój Boże! – wrzasnął krasnal. – To tylko cztery dni do

wtorku. Muszę się dobrze sprawować, żeby nie podpaść. – Odwrócił się do Aleksandra Większego. – Szefie, wybacz, ale muszę złożyć owieczkę w ofierze, o ile znajdę tu jakąś.

Odwrócił się i pognął prosto przed siebie tak szybko, jak tylko mogły go ponieść krótkie, ale muskularne nóżki.

– I co pan na to? – Mallory zwrócił się do ranczera.

– Wygrał pan. Podam panu to nazwisko.

– Wolę je zobaczyć na dokumentach – powiedział detektyw. – Z jakiegoś powodu przestałem panu ufać. – Odwrócił się do Feliny. – Miej oko na krasnoludki i daj mi znać, gdyby pan Aleksander próbował opuścić stajnię.

Wszedł do biura, które znajdowało się tuż obok wjazdu na ranczo, i zaczął przeglądać zalegające je papiery. Po dwu minutach miał już to, po co tu przyszedł. Schował dokumenty do kieszeni, poczekał, aż Felina z niechęcią zrezygnuje z czajenia się na krasnoludki i wskoczy na tylne siedzenie, a potem wrócił do miasta.

* * *

– Uśmiechasz się tak tryumfująco, Johnie Justinie – zauważyła Winnifreda, gdy detektyw wrócił do biura.

- Nie bez powodu – odrzekł.
- Co udało ci się znaleźć? – zapytała.
- Wiem, kto ukradł Jaspera, i chyba domyślam się, dlaczego to zrobił – powiedział Mallory.
- Ale? Twoja wypowiedź zabrzmiała tak, jakby na jej końcu powinno pojawić się małe „ale”.
- Jesteś bardzo spostrzegawcza – pochwalił ją detektyw. – Wiem, kto ukradł Jaspera, i chyba domyślam się, dlaczego to zrobił, ale obawiam się, że w tym wypadku sprawiedliwości nie stanie się zadość.
- Twoja robota polega na zamykaniu przestępców – przypomniała mu Winnifreda.
- Zaprzeczył ruchem głowy.
- Robota policji polega na zamykaniu przestępców. My jedynie staramy się uszczęśliwić naszych klientów i to może nam się tym razem udać, ale najpierw muszę porozmawiać ze złodziejem.
- Czy to aby bezpieczne?
- Już raz się z nim spotkałem. Tej nocy, kiedy przybyłem na wasz Manhattan – przypomniał sobie Mallory. – Nie zabił mnie wtedy, więc nie widzę powodu, dla którego miałby to zrobić teraz.

– Może wtedy nie miałeś dowodów, które zaprowadziłyby go za kratki – odpowiedziała mu Winnifreda.

– On wie, że nie jestem aż tak głupi, by nosić je ze sobą – uspokoił ją detektyw. – Gdyby coś mi się przytrafiło, będziesz wiedziała, co z nimi zrobić.

– Przecież nie wiem nawet, o czym mówimy.

– Właśnie zamierzałem pokazać ci te dokumenty – stwierdził Mallory, wyjmując z kieszeni papiery – a potem zastanowić się, jaki układ mogę z nim zawrzeć.

* * *

Stary Opuszczony Magazyn krył się za gęstą ścianą mgły napływającej z nad East River, ale Mallory wiedział, gdzie go szukać. Wiedział też – albo tak mu się zdawało – kogo i co tam zastanie. Zaparkował samochód w odległości trzech przecznic od magazynu, potem przespacerował się ulicą pełną barów i restauracji dla goblinów oraz klubów ze striptizem reklamujących, że w ich wnętrzu gwiazdki pokroju Oślizgłej Łuseczki Kluseczki rzucą z siebie wszystko, nawet skórę, byle tylko ucieszyć gadzią publikę, i w końcu stanął przed dobrze sobie znanymi drzwiami. Zastukał w nie mocno.

– Kto tam? – usłyszał basowy głos.

– John Justin Mallory.

– Ma pan zaproszenie?

– Nie – odparł detektyw. – A pan ma dobrego adwokata?

Drzwi otworzyły się z głośnym skrzypieniem i Mallory stanął przed olbrzymim mężczyzną o błękitnej skórze, noszącym purpurowy garnitur ze skóry rekina, bladoniebieską koszulę, fioletowy krawat, granatowe buty i także skarpetki. Człowiek ten mierzył co najmniej siedem stóp wzrostu i musiał ważyć około pięciuset funtów.

– Proszę, proszę – zagrzmiął Książę Waleni. – Widzę, że Grundy jeszcze pana nie zabił.

– Ma pan tu jakieś spokojne miejsce, w którym możemy usiąść i pogadać?

– A niby dlaczego miałbym z panem rozmawiać? – zapytał Książę Waleni.

– Może dlatego, że wiem wszystko o niebieskonosym reniferze?

– Ludzie ginęli, chociaż wiedzieli o mnie znacznie mniej niż pan – ostrzegł niebieskoskóry.

– Tak, z pewnością. – Detektyw zbył tę uwagę machnięciem dłoni. – Ale to musieli być wyjątkowo głupi ludzie. Zapewne

zapomnieli panu napomknąć, przed tym jak wygarnęli całą prawdę prosto w twarz, że zebrane dowody trafią na policję, gdyby spotkało ich coś złego z pańskiej strony.

Książę Waleni przyglądał się detektywowi przez dłuższą chwilę, a potem wzruszył ramionami.

– Niech ci będzie, łapsie – powiedział. – Chodź za mną.

Zaprowadził Mallory ego na koniec gigantycznej hali do niewielkiego kantorka, umieszczonego w samym kącie, i zaprosił do środka.

– Napije się pan czegoś? – spytał, wyciągając butelkę błękitnego płynu, w którym pływała ławica małych rybek.

– Nie, dziękuję – odparł detektyw, zajmując wskazane wcześniej miejsce.

– Świetnie – ucieszył się olbrzym – zostanie więcej dla mnie.

Uniósł flaszkę do ust i opróżnił ją do dna, nie oszczędzając nawet rybek.

– Czy one nie łaskoczą pana w przełyk? – zaciekawiał się detektyw.

– Niespecjalnie – odparł Książę. – Ale dość tego gadania, przejdźmy do interesów.

– Dlaczego uważa pan, że przyszedłem tutaj, aby robić

jakieś interesy?

– Gdyby nie miał pan zamiaru się układać, przysłałby pan gliniarzy – wyjaśnił olbrzym. – Miejmy to już za sobą.

– Dobrze – zgodził się Mallory. – Zacznijmy od tego, co wiem.

– To zajmie tylko chwilę.

– Wiem, że najął pan dzisiaj rana osiem reniferów z rancza Aleksandra Większego. Wiem, że zabrał je pan ze sobą. Wiem, że umowa najmu kończy się za tydzień.

– I to wszystko? – zdziwił się Książę.

– Niezupełnie. Wiem też, że jest pan największym paserem na Manhattanie.

– Wszyscy to wiedzą – zbagatelizował zarzut Książę Waleni – ale nikt mi niczego nie udowodnił. Nawet przed sądem.

– A teraz powiem panu, czego się domyśliłem – kontynuował Mallory.

Błękitnoskóry olbrzym sięgnął do kieszeni, wyjął z niej jednocentówkę i rzucił detektywowi.

– Żeby pan nie myślał za darmo – powiedział.

– Coś mi się wydaje, że policja jest już cholernie bliska udowodnienia panu paserki. Dostał pan cynk, że zaraz po Bożym Narodzeniu policja szykuje wjazd do tego magazynu, a do

tego czasu nie uda się panu przenieść i ukryć takiej masy fantów.

– Tak pan uważa? – zapytał Książę.

Mallory skinął głową.

– Domyśliłem się też, że chce pan upłynnić trefne towary w taki sposób, żeby nikt nie mógł pana przed tym powstrzymać... – przerwał na moment. – Sądzę, że kazał pan uprowadzić Jaspera, i najął osiem następnych reniferów, aby pozbyć się wszystkich fantów podczas Wigilii.

Czy ktoś może zaaresztować Świętego Mikołaja za rozdawanie milionów prezentów? I kogo będzie obchodziło, że tym razem dzieci dostaną o wiele więcej odtwarzaczy, tosterów i przenośnych magnetofonów, a mniej zabawek? Ludzie będą się cieszyli tak czy inaczej, pan będzie miał po świętach pusty magazyn, a policja znowu niczego nie udowodni. Nawet Jasper wróci do starego właściciela. Mam przeczucie, że Aleksander Większy zaraz po świętach odnajdzie go w pobliskim lasku i wszyscy będą przekonani, że renifer spędził tam ostatni tydzień, pasąc się do woli.

Książę Waleni nie spuszczał z niego oczu przez dłuższą chwilę.

– Jest pan niezły w te klocki – powiedział wreszcie. – Muszę

to panu przyznać. Zwrócił pan uwagę na wszystko prócz kwestii podatkowej.

– Jakiej znowu kwestii podatkowej?

– Tylko miejscowa policja chce mnie przyskrzynić za pa-serkę. Federalni mają gdzieś, co ja tu robię, dopóki płacę regu-larnie podatki. Wykombinowałem więc sobie, że zrobię kilka miliardów odpisu na cele charytatywne z okazji tej rundki świątecznej. Dzięki temu przez najbliższe dwadzieścia lat nie będę musiał kłopotać się fiskusem.

– To się może jeszcze udać – zapewnił Mallory.

– Tak? – zdziwił się Książę Waleni. – Zamieniam się w słuch. W jaki sposób możemy tego dokonać?

– A gdyby mój klient nie wniósł oskarżenia przeciw panu?

– Ile to będzie kosztowało?

– Po pierwsze musi pan zwrócić Jaspersa – powiedział Mallory. – Zakładam, że trzyma go pan gdzieś na terenie ma-gazynu.

– Tak, siedzi razem z pozostałymi reniferami w boksach, które dla nich przygotowałem. Co jeszcze?

– Mój klient to szczywany lis, nie wiem, czy sam zwrot reni-fera go zadowoli – dodał detektyw. – Ale może mu pan osłodzić gorycz straty przekazaniem wszystkich tych dóbr, które zamie-

rzał pan sam rozrzucić w Wigilię. Na coś takiego powinien pójść.

– I podpisze mi dokumenty zaświadczające, że dostał to wszystko za darmo?

– Myślę, że tak. Jeśli nie zdąży rozdać czegoś w tym roku, zawsze może rozwieźć w następnym... – Mallory zamilkł na moment. – Umowa stoi?

– Stoi jak drut, panie Mallory! – zawołał Książę Waleni. – Najbardziej w tym przekręcie nie podobała mi się ta część, w której osobiście powożę reniferami. Mam cholerny lęk wysokości.

– Świetnie – powiedział detektyw, podchodząc do telefonu. – Pozwoli pan, że przekażę warunki mojemu klientowi i upewnię się, czyje zaakceptuje.

Dziewięćdziesiąt sekund później załatwił sprawę.

* * *

– Też coś – mruknął Mallory. – Jak się nad tym dobrze zastanowić, czyste oszustwo.

– O co chodzi tym razem, Johnie Justinie? – zapytała Winifreda.

– Mamy już wigilijny wieczór, a ten paskudny dziadyga

nadal nie pojawił się z naszym honorarium, nie mówiąc już o premii. Cholernie niepokojący fakt, zważywszy na to, z kim mamy do czynienia.

– I tak przegrałbyś swoją część na wyścigach – powiedziała Winnifreda.

– Cóż, pewien słoń imieniem Odlot biegnie w jutrzejszej gonitwie na Jamajce – przyznał detektyw. – Dostałem cynk.

– Czy nie wspominałeś mi przypadkiem, że na swoim Manhattanie obstawiałeś konia o tym samym imieniu dziesięć- czy nawet piętnastokrotnie i za każdym razem przegrywałeś?

– Osiemnastokrotnie – poprawił ją Mallory. – Ale to takie wspaniałe imię. Ono samo powinno wygrywać gonitwy.

– Cieszę się, że podchodzisz do naszych spraw z większą dozą inteligencji i rozsądku niż do swoich zakładów – oświadczyła pułkownik Carruthers.

– On już tu jest – zamruczała Felina, śpiąca do tej pory na szczycie lodówki.

– Kto już tu jest? – zdziwił się Mallory.

– Niebieskonosy renifer.

– Potrafisz go wyczuć?

Felina uśmiechnęła się.

– Ludzie-koty potrafią rzeczy, których ludzie-ludzie nigdy

nawet nie zrobią – wymruczała.

Nagle z kominka dobiegło głośne klekotanie. Winnifreda natychmiast podeszła do paleniska.

– Zdaje się, że Nick dotrzymał obu obietnic – powiedziała, podnosząc niewielką paczuszkę.

– O czym mówisz? – zainteresował się detektyw.

– To – uniosła zwitek banknotów – nasza zapłata. Zaraz zaniosę ją do nocnego depozytu w banku... – przerwała na moment. – A to jest dla ciebie – dodała, rzucając w jego stronę jakiś niewielki przedmiot.

Mallory pochwycił go z niewyraźną miną.

Trzymał w ręku cienką różgę.